



## PISMO TYGODNIOWE.

Nr. 36.

Rok 1922, WARSZAWA, 2 września

Rok LV

### PUNKT ZWROTNY.

Z PRAWEM SZKÓŁ PAŃSTWOWYCH  
GIMNAZJUM  
MATEMATYCZNO-PRZYRODNICZE  
**W. GIŻYCKIEGO**

Warszawa,  
ulica Puławska № 113.

PARK WIERZBNO

• TELEFON 22-99, TRAMWAJ № 1 i 19.

Zapisy codziennie od 10 — 3.

EGZAMINY WSTĘPNE odbędą się 29, 30,  
i 31 sierpnia od 10 rano.

GIMNAZJUM STOSUJE NOWOCZESNE  
METODY WYCHOWANIA FIZYCZNEGO,  
POSIADA OBSZERNY PARK, SPECJAL-  
NE BOISKA DO ZABAW I GIER RUCHO-  
WYCH I ĆWICZEŃ SPORTOWYCH, TO-  
RY SANECZKOWE, WARSZTATY DO  
PRACY RĘCZNEJ: ŚLUSARSKI, STO-  
LARSKI I INTROLIGATORSKI.

Moment polityczny, jaki Europa przeżywa w chwili obecnej, jest pod każdym względem przełomowy. Szczególnie charakterystyczne dla stosunków powojennych tarcie poglądów i napięcie stosunków między Anglią a Francją doszło dziś właśnie do zenitu.

Najbardziej popularne i bardzo zarazem powierzchowne i nieściśle ujęcie różnicy stanowisk między Anglią i Francją brzmi, jak wiadomo, że Anglia reprezentuje ekonomiczny, a Francja polityczny punkt widzenia w sprawie stabilizacji stosunków europejskich. W gruncie rzeczy jednak każde z tych państw reprezentuje tylko swój własny interes, w którym czynniki ekonomiczne i polityczne zazębiają się i łączą wzajemnie, tak że niepodobna ich rozdzielić. Jeśli więc Anglia wysuwa na pierwszy plan koncepcje ekonomiczne, to czyni to głównie dlatego, że leży to w jej interesie politycznym, bo panujące w niej bezrobocie i zastój gospodarczy wymaga jak najszybszej odbudowy gospodarczej Niemiec, jako głównego kontrahenta handlowego Anglii. Jeśli z drugiej strony Francja podkreśla przeciwnie przede wszystkim postulaty polityczne, to czyni to znowu dlatego, że żądane przez nią gwarancje polityczne niezbędne są dla jej gospodarczej odbudowy, oraz dla spokojnego i bezpiecznego wewnętrznego jej rozwoju.

To też po odrzuceniu frazeologii humanitarnej i nawet biblijnej, jaką p. Lloyd George zwłaszcza, lubi osłaniać i ozdabiać swoje nawskroś utylitarne dążenia, nie trudno między polityką dwóch wielkich mocarstw zachodnio-europejskich dostrzedz całego szeregu różnic czysto politycznych i bardzo zasadniczych.

P. Joseph Barthélémy, członek Izby Deputowanych i znakomity pisarz polityczny, w ostatniej „Revue politique et parlementaire” ujmuje te różnice w sposób następujący:

„Niema punktu na ziemi, jak długa i szeroka, gdzieby oficjalna opinia angielska nie natknęła się na przeciwnie koncepcje rządu francuskiego. P. Lloyd George wytrwale wierny jest swej chimery odbudowy gospodarczej świata, poczynając od Niemiec i Rosji; Francja żąda, by, nim się pospieszy na pomoc najeźdźcy zwyciężonemu, pomyślano wprzód o zwycięskiej ofiarze najazdu i odbudowano pole bitwy światowej. Na bliskim Wschodzie, p. Lloyd George stawia otwarcie na kartę grecką; Francja zaś ma wstręt do popierania kraju, który znosi na czele swoim szwagra Wilhelma II, zdrajcę koalicji, mordercę naszych marynarzy, licząc na pobłażliwość, jeśli nie wręcz na poparcie Downing Street'u, Konstantyn teraz właśnie wszczął podejrzone kroki, groźne dla pokoju świata... Nie mogąc zająć obu stron ujścia do morza Śródziemnego Anglia, by usunąć Niemcy od Tangeru, zdecydowała się przed wojną pozostawić go faktycznie w rękach Francji, w formie protektoratu nad sułtanem, który tam jest reprezentowany przez naibę; ale dziś, gdy niebezpieczeństwo niemieckie zdaje się być usunięte od brzegów Afryki, Anglia bynajmniej nie zniechęca idących w tym kierunku ambicji hiszpańskich. Polska jest dla nas jakgdyby bastionem pokoju na Wschodzie, jej niepodległość wydaje nam się jakby uosobionym symbolem nowego prawa, które się wyłoniło z tragicznego probierza wojny; p. Lloyd George zaś nigdy nie ominął sposobności do zaznaczenia, jak mało ma sympatji dla Polaków... i t. d.



Na tle takich przeciwności jasne się stają ostatnie etapy rozbicia polityki francuskiej i angielskiej, etapy, którym na imię Genua, Haga, Londyn.

Już na zjeździe Genuańskim upadła zbawcza rzekomo koncepcja „gospodarcza” Lloyd Georgea. Zjazd w Hadze miał właściwie za zadanie maskować jedynie ten upadek. To też Hagi nie traktowano nawet zbyt poważnie, nie wysłano już tam politycznych reprezentantów państw interesowanych, ograniczając się do wydelegowania ekspertów.

Wobec jednak prowokującej postawy Sowietów, które chciałyby od Europy

wszystko brać, nic wzajemnie nie dając, zjazd Haski spełził również na niczem.

Wreszcie rozbiła się, poświęcona centralnej dziś w polityce europejskiej kwestii odszkodowań, konferencja Rady Najwyższej w Londynie.

Anglia godziła się na żądanie Niemiec, by udzielono im długotrwałego moratorium, bez konkretnych gwarancji, — Francja przystawała co najwyżej na moratorium krótkotrwałe, uwarunkowane gwarancjami, w postaci przedewszystkiem wydania tymczasowego pod zarząd koalicyjny lasów i kopalń niemieckich. Do kompromisu nie doszło. Po raz drugi już (pierwszy raz w kwestji Górnego Śląska) Rada Najwyższa ujawniła

swoją bezsilność w organizowaniu stosunków pokojowych po wojnie.

Sprawę górnośląską wówczas rozstrzygnęła Liga Narodów. Kwestję odszkodowań rozwiązać ma, jedynie już dziś potemu kompetentna, Komisja Reparacyjna.

I znamienne jednak jest, że na sesję Rady Ligi Narodów która rozpoczyna się teraz właśnie, w tej atmosferze niepokoju i napięcia, zjechać ma podobno sam pan Lloyd George.

Bądź co bądź w najbliższym czasie oczekiwać można i należy poważnych wypadków i zasadniczych rozstrzygnięć.

Irena Pannenkowa.

## Poglądy pedagogiczne Eleonory Ziemięckiej.

Część trzecią „Myśli o wychowaniu kobiet” poświęca Ziemięcka sprawom, objętym ogólnym tytułem „Wychowanie życia”. Poszczególne działy stanowią: „Życie rodzinne”, „Wpływ czasu — wychowanie charakteru”, wreszcie końcowe uwagi „o zawodzie autorskim dla kobiety”.

Jakkolwiek w poprzednich rozdziałach rozpatrywano wychowanie kobiety jako mające na celu kształcenie jej duszy w świetle ogólnego przeznaczenia człowieka, nie znaczy to jednak, aby zaprzeczano tej prawdzie, że „treścią przeznaczenia kobiety jest życie rodzinne, obowiązki żony i matki”. Wszystkie właściwości charakteru kobiety w rodzinie znajdują swe zaspokojenie i zastosowanie. „W tem przymierzku kobiety z rodziną”, mówi autorka, „jest najpiękniejsze najbardziej harmonijne prawo”, a zrozumienie jego i uznanie „stanowi najważniejszy dowód starannego wychowania kobiety”. Uznaawszy bowiem to prawo, kobieta pojmie, że nie rodzina jej szczęściu, lecz ona szczęściu rodziny służyć powinna, jak znów podniosłość i czystość ogniska rodzinnego służy szczęściu ogółu. Życie rodzinne kobiety wyłącznie prawie z obowiązków jest złożone. Sam ten wyraz „obowiązek” zawiera w sobie pojęcie zwycięstwa nad sobą, ograniczenia woli, ofiary.

I rzeczywiście głębsze wniknięcie w życie rodzinne wskazuje nam, iż tutaj właśnie swe zastosowanie ma prawo ofiary, poświęcenia pragnień osobistych, na którym chrześcijańska rodzina oprzeć się musi. Wzajemnie za to otrzymuje kobieta tak ważny udział w społeczeństwie, jak „najsilniejszy wpływ na wychowanie rodu ludzkiego, tak że słusznie powiedzieć można iż mężczyzna rządzi kobietą — żoną, lecz kobieta — matka tworzy charakter mężczyzny”. Tutaj jasno uwidacznia się wzajemny wpływ spełniania powinności i szczęścia. Stan ogólny społeczeństwa, egoizm w niem panujący utrudnia i bolesnym czyni życie kobiet, „błędy ich tworzą się w znacznej części przez wpływ ogólnych obyczajów, przez upadek charakteru i godności w mężczyznach; lecz nie myślimy, że to nas uniewinnia”. Gdy kobieta z rąk swych wypuści kierownictwo rodziny, gdy przestanie strzedz jej wznio-

ści, stan ten pogorszy się stokrotnie, natomiast trudy i poświęcenie, jakie włoży w pracę nad wychowaniem dzieci, będą pierwiastkami nie tylko ogólnego, lecz i jej osobistego szczęścia. „Jakich ona synów poda światu, takich jej świat zwróci mężów; ile żywiołów dołoży do ogólnego dobra, tyle pociechy i szacunku zabłyśnie dla niej w rodzinie”.

Lecz tu w wychowaniu dzieci „znów powtarza się to samo prawo, na którym oparliśmy życie małżeńskie — prawo ofiary”. Ofiara ta polega na stłumieniu w sercu wrodzonej matce miłości namiętnej, egoistycznej, której wyrazem jest ciągle pobłażanie, tklive pieszczoty, pojmwowanie dziecka jako swej własności, lubej pociechy. Zastąpić ją musi miłość matki odrodzonej, z niej wyniknie „umiarkowana karność, kierowane uczuciem obowiązku przywiązanie i porządek w postępowaniu, prowadzący mimo przeszkód, dzieci opiece naszej powierzone do najwyższej doskonałości”. Takie pojęcie miłości macierzyńskiej nie daje już tej „lekkoci, naiwności i dziecinnej swobody, która uczula pierwsze lata macierzyństwa nieprzezornej matki”. „Może możnaby to nazwać najboleśniejszą ostatnią kobiety ofiarą, lecz zrozumieć ona musi, „iż jej dziecie nieśmiertelnem przeznaczeniem do innego należy świata, a w doczesnym życiu ma służyć dobru bliźnich”. I tylko tak po chrześcijańsku pojęte wychowanie da kobiecie prawdziwe szczęście, „tak pędzone życie będzie dla niej najgłówniejszym sposobem wychowania duszy”.

Dotąd rozpatrywaliśmy wpływ wychowania religijnego i moralnego, wpływ ukształcenia umysłowego na rozwój duchowy kobiety, na wyrobienie jej charakteru, „lecz jest jeszcze inna edukacja, którą człowiek od czasu, doświadczenia, wpływów wieku odbiera”. W tej edukacji sam on sobie jest kierownikiem, a polega ona na walce między własną słabością a trudami życia. Lecz ta walka nadaje wartość życiu, w niej, według słów autorki kobieta „dozna tego słodkiego uczucia, jakie napełnia szermierza, kiedy trudy zapasów budzą w nim przekonanie wzrastającej siły”. „Życie łatwe, bez poświęceń i wyrobień

wewnętrznych nie miałoby wartości dla ukształconej istoty. Jej umysł potrzebuje, pragnie walki”. Sama ta walka ma dla niej urok poetyczności, staje się źródłem i złudzeń wyobraźni, nieraz jeszcze kobieta da się unieść wrodzonej łatwowierności, zbytniej żywości uczuć, wkońcu jednak „pokłócone żywioły zaczynają układać się do harmonji... i ona sama może już w sobie owoce trudów i doświadczeń spostrzegać”. Wtedy „jej szczęście nie jest już zawisłem od zmian serca ludzkiego, związku uczuć są miłą dla niej osłoda, ale nie koniecznością, ona już umie żyć sama, oprzeć się na świadectwie własnego sumienia”. Po gwałtownych przejściach, namiętnych dążeniach do szczęścia i chwilach głębokiego zwątpienia „już nie uniesie ją, jak dawniej, widok wymownej egzaltacji... wyżej kładzie jedną prostą, cichą cnotę, niż najbardziej poetyczny zapał... tym tylko wierzyć się ośmiela, którzy z pracą pokonali siebie, którzy zwolna wyrobili w sobie charakter”.

Życie, które z początku tak łatwym i poetycznym jej się wydawało, pod którego ciężarem później upadać zdawała, nabrało nowej odmiennej wartości, leżącej w dążeniu do najwyższego udoskonalenia, w duszy jej brzmi jak dawniej hymn nadziei i zapału, ale nie dla osobistych już widoków; w stosunku do ludzi dawną łatwowierność zastąpiła czynna i wyrozumiała dobrocią i miłością. O wszystkim ma ona teraz sąd własny i wszelkie zasady, teorie ludzkie rozpatruje w związku z przeznaczeniem człowieka i śmiało je przyjmuje lub odrzuca.

W całej jej istocie jest wzniosłość, jakaś głębokość i pełność duchowa, czuje, że na jej słowie śmiało można się opierać. Pojęła ona, że przykrości życia są skutkiem naszych własnych błędów, a nieszczęścia nawet nie przechodzą mocy moralnej człowieka; stłumiła więc litość i rozczulanie się nad sobą a przewidywanie nieszczęść nieuniknionych nie trwoży jej serca. Teraz kobieta najdzielniej pracować może dla dobra rodziny i społeczeństwa.

(d. c. n.)

J. Rzętkowska.



# Oprzemianie materji.

Energja potencjonalna zawarta w pokarmach, wyzwala się postaci ruchu w komórkach mięśniowych (chodzenie, bieganie, ruch jelit, czynność oddechowa), przyczem powstaje też i ciepło. Natomiast praca umysłowa jak również i czynność wydzielnicza ustroju energii tej zużywają mało.

Z pokarmów niezbędnych dla utrzymania przy życiu ustroju potrzebuje organizm ludzki, oprócz witamin \*) koniecznych substancji dodatkowych — i białka zwierzęcego. To ostatnie znajduje się w znacznej ilości we wszystkich rodzajach mięsa; jajach kurzych i w mleku; w pokarmach zaś roślinnych zawarte jest w mniejszej ilości białko roślinne.

Niejednokrotnie powtarzane badania, zwłaszcza Voigt'a, wykazały np., że przemiana materji u psa głodzonego wymagała rozkładu zarówno węglowodanów i tłuszczu jak i białka. W pierwszym okresie tego doświadczenia ustrój głodzony rozkładał białko w ilości minimalnej, jedynie dla utrzymania najistotniejszych swych funkcji komórkowych, wszystkie zaś inne przejawy życiowe pokrywał rozkładem zapasów węglowodanów oraz tłuszczu. Wyczerpanie się tłuszczu jest chwilą krytyczną dla organizmu, gdyż odtąd musi on rozkładać swe własne białko i niejako spożywając samego siebie, dąży do śmierci.

Doświadczenia Magendie'ego wykazały, że zwierzęta odżywiane pokarmami, pod względem ilościowym dostarczonymi, lecz pozbawionymi białka, nie dały się uchronić od śmierci.

Widzimy z tego, że dostarczenie białka organizmowi jest niezbędnie koniecznem i że tej substancji nic zastąpić nie może. Szczególniej zaś w tych wypadkach, gdzie chodzi o osoby wynędzniałe po długich chorobach lub o osobniki znajdujące się w okresie wzrostu, u których tkanki się powiększają i komórki istniejące rozmnażają, tym białko, jako składnik najważniejszy, musimy podać bezwarunkowo.

Mówiliśmy już, jak wiele ciepła potrzebuje organizm dla życia; tłuszcze zaś i węglowodany to paliwo dla tegoż organizmu, rozkład ich, (spalanie się) tego ciepła ma dostarczyć. Węglowodany spożywamy pod postacią cukrów (mlekowego, gronowego, trzcinowego), lub skrobi i której wiele znajduje się we wszystkich jarzynach i zbożach (mąka, krupy). Tłuszcze zarówno pochodzenia roślinnego jak i zwierzęcego mają to samo znaczenie. Przyjmowanie tych dwu postaci pokarmów oszczędza ogromnie rozkładanie białka, aczkolwiek go w zupełności nie zastępuje.

Wspomnieć tu też musimy i o wodzie, gdyż odgrywa ona jak najważniejszą rolę u wszystkich istot żyjących. Komórki zawierają wodę w znacznych ilościach (od 50 do 90%) i jakkolwiek w pewnych oddają jej wiele, konieczne minimum zachowują

zawsze gdyż zupełne wyschnięcie oznacza śmierć komórki. Drobne robaki, np. wrotki lub bakterje niektóre, w pewnym okresie swego rozwoju wytrzymują bardzo długo stan niemal całkowitego wyschnięcia, dzięki ogromnie zwolnionej przemianie materji. Po dostaniu się do wilgoci posiadają one zdolność odzyskania całej swojej żywotności. Komórki ustroju ludzkiego są bardzo wrażliwe na zmniejszenie swej zawartości wody i pozbawione niezbędnego jej minimum rychło obumierają. Człowiek, spożywając pokarm zawierający zawsze znaczną ilość wilgoci, nie potrzebuje zazwyczaj pobierania wody w postaci czystej, wyjąwszy pewne stany, jak np. gorączka, lub pewnych warunkach, jak np. upały, wzmożony ruch, kiedy to organizm za pomocą parowania stara się pozbyć zbyt wiele nagromadzonego ciepła. Ustrój wydala wodę w postaci pary przy oddychaniu, przez skórę jako pot lub przez nerki, jako mocz, gdzie woda spełnia zadanie rozpuszczania produktów przemiany materji, jak wspomnieliśmy wyżej, które tylko tą drogą mogą być wydalone z ustroju.

Co do soli nieorganicznych najważniejszą jest sól kuchenna (chemicznie chlorek sodu). Ustrój ludzki nastawiony jest niejako na pewną jej ilość w komórkach i ilości tej strzeże usilnie. Jakkolwiek organizm potrzebuje też i innych pierwiastków, doprowadzanych pod postacią różnych soli w pokarmach, to jednak pozbawienie go soli kuchennej a co zatem idzie zamiana jej w komórkach na inne sole — wywołuje ciężkie zaburzenia nerwowe, silną reakcję ze strony całego ustroju, a nawet śmierć. Doświadczenia przeprowadzone w tym kierunku na zwierzętach niezbicie to wykazują. Człowiek instynktownie soli przeważnie te pokarmy, które zawierają inne sole i mogłyby przez zamianę umniejszyć zawartość soli kuchennej ustroju np. pokarmy roślinne (Bange).

## IV.

Jeśli zapytamy w jakiej ilości należy pobierać pokarm i jak złożony — odpowiedź będzie trudna. Wielu uczonych dokonało rozlicznych badań i doświadczeń, opracowując tę nader ważną kwestję. Chcąc zapoznać czytelnika z wynikiem tych badań wspomnieć muszę uprzednio, że dla ułatwienia porozumienia się ustalono podawać wartość każdego rodzaju pożywienia w ciepłostkach dużych (kalorjach dużych \*) t. j. jednostkach ciepła, które przy rozłożeniu (spaleniu) pokarmu w organizmie zostają wyzwolone. Pokarm wprowadzony do organizmu nie zostaje w całości przez tenże organizm wessany i rozłożony, ale część pokarmu bywa bez zmiany wydalana — przeto po doświadczeniach i obliczeniach przyjmujemy średnio, że:

|               |                      |           |
|---------------|----------------------|-----------|
| 1 gr. białka  | wyzwala w organizmie | 3.77 kal. |
| 1 „ tłuszczu  | „ „ „                | 8.83 „    |
| 1 „ węglowod. | „ „ „                | 3.97 „    |

\*) Ciepłostka duża, czyli kalorja duża, jest to ilość ciepła konieczna dla ogrzania 1 kg. (1 litra) wody o temperaturze 0° do temperatury 1°.

Człowiek średniej wagi 70 kg. zużywa, bez ściśle określonej pracy fizycznej, około 2000—2430 (dużych) ciepłostek.

Czytelnik, chcący praktycznie skorzystać z wymienionych tu obliczeń naukowych, znajdzie na końcu mego artykułu zamieszczoną tablicę, według której będzie mógł przetłumaczyć sobie niejako na „język stołowy“ tę mniej przystępną terminologję naukową.

Niech mi wolno będzie przytoczyć niektóre wyniki badań naukowych w tym kierunku podjętych. Pettenkofer i Voigt przekonali się, że robotnikowi silnemu, ważącemu 70 kg., nie wykonywującemu żadnej pracy fizycznej, trzeba było dostarczyć pożywieniem 137 gr. białka, 65 gr. tłuszczu i 352 gr. węglowodanów, t. j. razem 2488 ciepłostek na dobę dla uniknięcia deficytu przemiany materji.

Rubner w podobnych warunkach, prowadząc na sobie doświadczenia, podaje: 100 gr. białka, 100 gr. tłuszczu i 240 gr. węglowodanów t. j. razem 2213 ciepłostek na dobę.

Beaunis podaje w tych samych warunkach: 92 gr. białka, 61 gr. tłuszczu, 235 gr. węglowodanów, t. j. razem 1818 ciepłostek na dobę. Gautier podaje jako średnią dietę paryżanina: 104 gr. białka, 66 gr. tłuszczu i 417 gr. węglowodanów, t. j. razem 2530 ciepłostek na dobę.

Widzimy z tych kilku przykładów, że zapotrzebowanie ustroju ludzkiego waha się w dość szerokich granicach, zależnych od warunków wśród których badany człowiek żyje, od pracy fizycznej, którą wykonuje od masy t. j. wagi osobnika a wreszcie od zdolności przewodu pokarmowego przygotowania pokarmów oraz zdolności komórek zużytkowania tychże. Bo też inaczej być nie może: człowiek nie jest maszyną, ale istotą żywą, której mechanizm zbyt jest zawiłym i zbyt złożonym, cy można go było wtłaczać w wąskie ramy jakiegokolwiek systemu.

Na ogół zgodzono się na następującą średnią ilość dla człowieka wagi 65 do 70 kg. wykonywującego średnią pracę fizyczną: 110 gr. białka, 65 gr. tłuszczu, 400 gr. węglowodanów, t. j. razem 2489 ciepłostek na dobę.

Rzeczą oczywistą, że wzmożona praca fizyczna, np. ciężko pracującego robotnika, żołnierza w marszu, wymagać będzie większej ilości ciepłostek. Na przykład wyżej wspomniany Gansier oblicza dla lądowego żołnierza francuskiego 3108 ciepłostek, dla marynarza 3116 ciepłostek.

Wspomnieć też muszę, że obliczenia powyższe przeprowadzone były przed wojną. Znacznie gorsze warunki odżywiania się żołnierzy i ludności cywilnej podczas wojny dają jednak tak smutny obraz, że powyżej przytoczone dane nie wydają się być zbyt przesadzonymi.

Na koniec wspomnieć jeszcze muszę o odżywianiu dzieci i młodzieży. (d. c. n.).

Dr. Gorecki.

\*) Patrz: „Witaminy“ przez D-ra Węgierko, Bluszcz № 25 i 26 b. r.



# ORESTEJA AJSCHYLOSA.

Ideja usprawiedliwienia moralnego.

Jej geneza i rozwój.

(CIĄG DALSZY).

W taki to sposób odbywa się przed grobowcem Agamemnona spotkanie Orestesa i Elektry; siostra (wraz ze starszą panną służebną) opowiada bratu o losie ojca, o swojej własnej doli oplakanej, наконец, o śnie, który przysnił się matce; pod wpływem tych opowiadań Orestes odzyskuje poprzednią stanowczość.

Na tem kończy się rola Elektry ajscchylowej; spełniwszy to, czego od niej żądał ojciec, powraca ona do pałacu matki. Na scenie zostaje Orestes ze swym przyjacielem. Plan ich jest prosty: wywołać z pałacu króla i królowę, oznajmić im wiadomość zmyśloną o śmierci mściciela, i uwiódłszy w ten sposób ich podejrzliwość, zdobyć możność wykonania woli Bożej i ojcowskiej. Ale Ajgisthos jest nieobecny: do przybyszów wychodzi Klitemnestra, wysoka i blada, pyszniąca się w poczuciu tej niesłychanej, niezatartej hańby, którą się otoczyła. Nie cieszy jej wieść oznajmiona; zdajemy sobie sprawę, że drgnęło w niej nie tylko uczucie matki. Życie nauczyło ją dumnie nosić wobec obcych brzemie swego grzechu, ale w samotności czuła dotkliwy jego ciężar, ze strachem zaś, jaki budziła w niej myśl o Delfach i wzrastającym w nich mścicielu, łączyła się też pewna wątpliwa nadzieja. Wszak mściciel ów był jej dzieckiem rodzonem; dzieckiem które na świat wydała, gdy była uczciwą jeszcze małżonką znamienitego męża; to dziecko było jedynym symbolem jej utraconej czci, ono jedno nie było zbryzgane tem „błotem krwawem“, w które nowe małżeństwo pograżyło i ją, i córkę jej i cały jej dom. Póki żył Orestes, żyła wraz z nim nadzieja, że kiedyś nastąpi dla niej ostateczne pojednanie ze światem czci i dobra; jego śmierć uwieczniła jej hańbę.

Mimo to, jednak, nie zapomina ona o obowiązku gościnności; słońce zaszło; podróżnym należy się odpoczynek; posyłają po Ajgisthosa, zmrok tymczasem napełnił scenę—najodpowiedniejsza godzina dla tego, co ma się teraz dokonać. Pełen radosnej niecierpliwości, Ajgisthos zdąża do pałacu, aby z ust przybyszów posłyszeć potwierdzenie pożądanego nowiny; tam też spotyka go śmierć. Wszystko to odbywa się szybko, jako coś ubocznego, niezbyt ważnego; najważniejsza scena ma się dopiero rozegrać. Wychodzi Klitemnestra, przywołana krzykiem, jaki się podniósł: „Co się stało?“ — „Umarli zabijają żywych!“ — słyszy odpowiedź. Słowa te odsłaniają jej wszystko; postanowiwszy bronić się do ostateczności, posyła ona sługę po siekiere, tę przeklętą siekiere, którą ongi zabiła męża. Poeta rozmyślnie przypomina ten rys Orestei delfickiej, ażeby uwydatnić swe odchylenie się od niej w dalszym ciągu. Nim sługa zdążył powrócić, Orestes wychodzi z męskiej połowy pałacu; w ręku ma miecz, krwią Ajgisthosa zboczony; przed sobą—bezbronną matkę.

Bezbronną, tak, — ale zato matkę. Ona wie o tem. „Stój!“ krzyczy do nieprzytomnego syna, rozrywając szatę, która okrywała jej pierś: „Oszczędź łono, na którym tak często cię kołysałam; oszczędź pierś, której mlekiem cię wykarmiłam!“ Na widok matki stanowczość opuszcza po raz wtóry Orestesa. „Co czynić, Piladesie? — pyta; — czy mogę oszczędzić matkę?“. Pilades stoi tuż obok niego; nieodstępnie i w milczeniu towarzyszył mu, jako niemy świadek tego, o czem wiedzieli tylko oni dwaj, a prócz nich — święta góra Apollina; tu, po raz pierwszy i jedyny, przerywa on milczenie. „A wola Feba? — rzecze: — a przysięga? Wszelka wróżba jest lepsza, niżli wróżba boga“. Oto siła, która podnosi dłoń Orestesa do stanowczego ciosu: nie głos serca, nie pamięć o ojcu, nie zakłęcia siostry — to wszystko przemogła obnażona pierś matki; pierwszą i ostateczną pobudką krwawego czynu pozostaje wola boga delfickiego.

Nareszcie, wszystko zostało spełnione; przy pierwszym brzasku zorzy porannej widzimy znów Orestesa; przed nim, z jednej strony, trupy zabitych, z drugiej — płaszcz fatalny, w którym zamordowano Agamemnona. Dokola stoi lud; przed zajęciem tronu ojca Orestes usprawiedliwić musi wobec Argiwów swój czyn. Wzruszonym głosem wypowiada krótkie, lecz mocne słowo; lud przyznaje mu słusność. Tak, zabójstwo króla było zbrodnią, wołającą o pomstę; tak, morderców dosięgła nierychła lecz sprawiedliwa ręka. Wszyscy więc współczują Orestesowi; dlaczegoż nie schodzi on ze sceny, nie wraca do swego pałacu?.. Stoi on w dalszym ciągu na tem samym miejscu, niepewne zwracając spojrzenie to na matkę zabita, to na skrwawiony płaszcz ojca; jak-gdyby nie świadom tego, gdzie się znajduje, poddaje się porywom swoich zbłąkanych myśli:

Jest winna, czy nie winna? Płaszcz-ci ten nie przeczy Jej zbrodni. Oto patrzcie! ślady krwawej cieczy! Tak, patrzcie! Zblakła plama, co żarzy purpurę, Nawskroś jest zgodna z czasem, gdy dzieło ponure Spełniono. Nic-cim wówczas ja nie wiedział o tem, Wygnany z mego domu. Ale dziś z powrotem Przyszedszy, widzę jasno, gorzkie lzy dziś leje, Mający to przed sobą. Rodu mego dzieje, Cierpienia jego wszystkie stają mi przed oczy I serce mi ten straszny jad zwycięstwa tłoczy,

(Przekład J. Kasprowicza).

Napróżno głosy z ludu starają się uspokoić młodzieńca — cóż wskórać mogą ich blahe pociechy? Tak, wszelkie życie pełne bywa smutku, nikt nie wychodzi czysty z jego odmetu, lecz cóż to wszystko znaczy?

Jak skończy się to wszystko, czy wiecie? Ja nie wiem Wyskoczył z toru zaprzęg mej duszy, zarzewiem Pędzony gdzieś na oślep. Cugle mi wypadły Z rąk. W sercu przeraźliwą nuci strach pobladły Melodje, serce w dziki pogania mi taniec. Słuchajcie przyjaciele! Nim jeszcze skazaniec Utraci wszystkie zmysły, powiedzieć wam pragnie, Że mord na matce spełnił według praw! Na bagnie, Na bogów tej ohydzie, na ojca przeklętej, Nikczemnej morderczyni! Sam Lokysasz święty Wróżbita, pchnął mię k'temu. Wzywam go na sędzie. W wyroczni rzekł mi swojej, że nikt mię nie będzie Obwiniał, gdy to spełnię. Lecz jeśli by miała Zawahać się ma ręka, ludzkich myśli strzała, Chociażby najostrejsza, nie wnuknie do sedna

Tych ker, które ma znosić moja dusza biedna. A teraz — czy widzicie ten pokutny wieniec I różdżkę tę oliwną? Idę potępieniec, O łaskę błagający, tam, do pępka ziemi, Do schronu Lokysasza, gdzie iskry wiecznemi Wybuchają ogień boży! Od mej krwawej winy Uciekam w jego progi, bo tam mi jedyny Wyznaczył on przytułek. A was, Argiowio, Upraszam, byście, pomni naszych klątw, w swem słowie, Świadczyli mi, gdy wróci Menchaos. Dola Tułacza z ojczystego wypędza mię pola. Rodzoną matkę dłoń ma wszak zabiła krwawa: I w życiu i po śmierci taka moja sława.

(Przekład J. Kasprowicza).

Oto, gdzie po raz pierwszy z pod koncepcji delfickiej błyska pierwiastek nowy, uprzednio nieznany. Sam bóg natchnął młodzieńca przeświadczeniem, że nie popełni on grzechu, wolę jego wykonawszy, i młodzieńiec mu zaufa; wszyscy czyn jego pochwalają: i siostra, i przyjaciel, i wszystek lud; wszyscy korzą się przed wolą boga, a jednak on nie czuje na dnie duszy spokoju. Próżno próbuje oprzeć się na swej lasce pielgrzymiej, która dotąd tak wiernie go wspierała, — laska wymyka mu się z rąk; jakaś tajemna moc woła w nim, że postąpił źle, że jest coś, wobec czego sam bóg jest bezsilny.

Jeszcze chwila i — skolatany umysł Orestesa ustępuje naciskowi tej mocy nowej; ogarniające go *szaleństwo*, poeta, idąc za wyobraźnią ludu, uosobił w postaci okropnych bogiń-mścicielek mroku podziemnego. Nie jako pielgrzym, nie, ale jako zwierz, sforą psów ścigany, biegnie Orestes do świątyni — ośrodka Ziemi, kędy nad szczątkami pokonanego Żmija płonie ogień niegasnący na ołtarzu Feba.

X.

A jednak dotychczas protest przeciw Orestei delfickiej polegał jedynie na nastroju, wywołanym przez poetę; osnowa fabuły nie uległa zmianie. I tam Orestes opuszczał ojczyznę, ścigany od Erynij; chroniąc się przed niemi, uciekł do Delf, Apollo zaś, oczyściwszy go, obdarzył go strzałami, któremi odpędził od siebie swe dręczycielki. Czy zgodzi się Ajschylus unieśmiertelić w swym poemacie tryumf boga delfickiego nad potęgami Ziemi i zmaconem sumieniem człowieka? Czy zgodzi się potwierdzić dogmat delficki, że Apollo mocen jest odpuszczać człowiekowi jego grzechy?

Orestes przebywa w Delfach, lecz Erynje go nie odstępują; Apollo rozgrzeszył swego petenta, ale Erynje nie znikają; zasnęły tylko i pozwoliły przestępcom nieco odechnąć i oprzytomnić, ale nie wypuszczają go ze swych splotów węzowych i gotowe są znów go ścigać, gdy tylko opuści progi świętego przybytku. Apollo czuje, że jest bezradny. „Uciekaj — rzecze do Orestesa — i nie pozwól pokonać siebie znużeniu; nie uwolnisz się od nich, wszystko jedno, czy ładem biec będziesz, czyli po morzu żeglować. Lecz pójdz do miasta Pallady, i udawszy się do jej świątyni, uchwyc się oburącz za jej posag prastary. Tam znajdziemy sędziów nad tobą i nad niemi; władając słowem przekonującym, znajdziemy dla ciebie ratunek“.

(d. c. n.).



M. H. SZPYRKÓWNA.

## GWIAZDY i DOLARY.

Wszelkie prawa autorskie zastrzeżone.  
Copyright by M. H. Szpyrkówna.

6)

Ale to i wszystko. Żeby nie to, iż poza salonową częścią okrętu istnieją jeszcze części maszynowe i że za drzwiami huczy morze—miałoby się tak dalece idące złudzenie hotelu, jaktylko mieć można.

Rozglądamy się, a tymczasem olbrzym zaczyna ciężko i wolno drgać. Pierwsze odruchy potężnego, budzącego się z letargu potwora. Wzmoczone ożywienie na pokładach, zgrzyt bloków, przerzucanie sznurów, głosy... Ruszamy! Uważamy, że nie powinno to emocjonować nas tyle co w Gdańsku, bo tu nie żegnamy nikogo. Prawda!—Starą ziemię. Anglja to na naszej drodze ostatnia, pożegnalna jej placówka, trójgłowa warta Atlantyku. Płyniemy. Znowu malownicze wybrzeża, farmy, mewy, potem — tylko woda. Daleko, daleko sine pasemko brzegu. Obcego brzegu, gdzie nie żegnał nas nikt.

— Tam musi być Gdańsk!—Mówi ktoś, wskazując pewien punkt przestrzeni, gdzie się mgławia biało-niebieskie tumany, a więcej nic. Oczy nas wszystkich zwracają się w tamtą stronę. Biało-niebieskie opary zdają się rozdawać. Ukazują stare mury i gotyckie wieżycy, a dalej—pola, łany i Warszawę. Patrzymy wszyscy, — mała grupa ludzi w olbrzymim tłumie pokładu—w jeden, daleki punkt, w którym nikt inny nie dojrzy nic. My widzimy. Tam musi być Polska.—

Świetliste tumany mierzchną, bo słońce zaszło. I w duszach coś mierzchnie również Olbrzymie wodne przestrzenie, nieprzychylny plusk fal, głęboko na dole obcobrzmiąca mowa dokoła, obcy i wrogі tłum.——

Jest nam dziwnie nieswojsko i sieroco. Idziemy do kabin i niechce nam się mówić nawet do siebie.

Obczyzna!..

\* \* \*

Przeciągły uroczysty dzwon gongu wdziera się w zacisze kabiny. Czas wstawać! Oczy leniwie się otwierają. Łóżka na okrętach są tak kusząco wygodne!... Przez okragłe okienko przegląda niebieska i drgająca srebrną tasiemką nieskończoność. To morze. To—ocean. Ocean, który zagląda do kabiny, który odgradza tylko małą, śnieżną szybka. Oczy z przyzwyczajenia obchodzą komfortowy, miękko wysłany pokój, gdzie olbrzymia ilość urządzeń jest skondensowana na minimalnej przestrzeni. Moc przeróżnych klamek, prztyczków, guziczków, które za pociśnięciem ukazują współczesny cud—skrzyneczkę. W ścianie lustro, a pod lustrem gładka ściana z guziczkiem, guziczek się na-oiska i od ściany odrzuca się umywalnia z całkowitem urządzeniem toaletowym. Ciepła i zimna woda, woda do picia, płynne i zwykle mydło... po skończeniu, bez dalszych kłopotów, zamyka się cały kramik znów—i wodę automatycznie wylewa się z miednicy gdzieś tam w przeznaczone na to głębokości. W ścianie szafa do ubrań, w ścianie jakieś schowanka, w ścianie wyskakujące krzeselko. W łóżku rozkładana kanapa. W drzwiach dodatkowy stolik. W siatkach dodatkowe

pledy. Pod sufitem ratunkowe koła. Na najwidoczniejszym miejscu przepisy co robić należy i przepisy, czego robić nie należy. To nas najmniej zresztą niepokoi, bo i tak nie rozumiemy nic.

Pukanie do drzwi, i wchodzi wyświeżona na białą, w czepeczku i mankietach służąca. Niesie filiżankę kawy i parę wymyślnych figlików do przegryzienia, ażeby się pasażer w ciągu pół godziny, jakie upływa od pierwszego gongu do śniadania, zbytnio nie-wygłodził. Uśmiecha się przyjaźnie, pyta o zdrowie, odsłania okno, naciska odpowiednie guziki od stolików i krzesełek, szykuje wodę, przynosi suknie i mówi po angielsku rzeczy najwidoczniej przyjemne. Jest zawsze w świeżym uniformie, o niepokalanej bieli fartuszka, mankietów i czepeczka, w zgrabnej sukni z granatowej pepitki z białym kołnierzykiem, zawsze w gorsie i zawsze uprzejma. Umie przytem szereg rzeczy, ściśle do zakresu pokojowej nie należących, i zna się na pielęgnowaniu chorych i przepisach higienicznych. Jest czemś średnim między pokojową a pielęgniarką i nazywa się często „nurse“.

Powtórny gong w pół do dziewiątej. Orkiestra zaczyna grać, powoli zaczyna grać, powoli zaczynają ściągać pasażerowie. Oczywiście, pasażerowie pierwszej nawet klasy, gdyż pokłady, salony i jadalnie, a nawet tryb życia klas są najściślej odgraniczone. Olbrzymia, zbytkownie obstawiona sala jadalna ma rozrzucone małe i większe stoliki, stosownie do składu i liczebności grup, które trzymają się razem. Oczywiście, śnieżne obrusy i serwety zmieniane do każdego posiłku, kwiaty na stolikach i gdzie się da pozatem, program orkiestry i menu z datą dnia bieżącego przed każdym nakryciem o całej serji rozmaitego przeznaczenia nożów, widelców i łyżek. Każde zdobne w inicjały okrętu, a gdzie się da, i w reprodukcje tegoż. Szczególnie na papierach okrętowych widoki okrętu są wykonane w sposób niezwykle artystyczny i kosztowny, nie mający nic wspólnego z krzykliwą tandetą reklamową. Kelnerzy w liberjach i rękawiczkach mają twarze posagów i czujność, która wprawia w zdumienie zwykłego śmiertelnika. Stanowczo przy kelnerze nie należy nawet myśleć o czemś co może wchodzić w jego zakres, a czego ujawnić nie chcemy, gdyż natychmiast to wyczyta i wykona, sposobem jemu tylko wiadomych zdolności transcendentalnie — kulinarnych.

Menu jest wykwintne, obfite i nieograniczone niczem. Od naszego różni się znacznie, przede wszystkim tem, że pierwszą rzeczą którą na śniadanie się jada, są owoce. Poraz pierwszy też spotykamy jadłospis, zapożyczony z Robinsona Kruzoe i innych egzotycznych źródeł. Banany ze śmietanką. Takież brzoskwinie, pokrajane i ocukrzane. Gruszki, jabłka i pomarańcze jak u nas, z tą różnicą że zjawiały się jeszcze jakieś zielonkawe dziwadła, specjalnie z Jawy. Ma-

łe meloniki, wielkości piłki, o bardzo przyjemnym smaku, coś średniego między melonem a kawonem.

I wreszcie, specjalność amerykańska której tu nie spotykamy, a na którą cudzoziemiec łapczywie się rzuca i pochłania zaciekle przez cały czas podróży: grepfrut. Jestto chyba najlepszy z nieznanych smakolyków, bo przedziwnie wonny i rzeźwiący, a przytem miły w smaku. Wygląda jak mały harbuzek, znów wielkości średniej piłki, który jest czemś średnim pomiędzy pomarańczą i cytryną. Nazewnątrż jest zielony, gładki i okrągły. W środku wygląda jak cytryna. Podaje się, rozkrajany na pół poprzecznie i nadcięty podług przedziałek. Posypuje go się cukrem i je łyżeczką, o specjalnym podłużnym końcu, tak, jak zresztą się tam jada i pomarańcze. Owoc zawiera dużo łagodnie kwaskowego soku, jak lemonjada, i wonny miąższ. W czasie upalnego lata w Stanach grepfruty, podawane zawsze na lodzie, są chyba najpopularniejszym wstępem śniadaniowym.

Tyle o owocach. Oczywiście, winogrona, ananas, czereśnie, maliny i t. d. są również popularne. Zwłaszcza truskawki ze śmietanką cieszą się sezonowem powodzeniem. My w każdym razie rzucaliśmy się na nie łapczywie, i, zasadniczo, uważaliśmy owoce za największą atrakcję śniadaniową, tembardziej że reszta dań o pogańskich nazwach była dla nas stale rodzajem umartwienia wstępnego.

Coprawda, dla kelnerów było zapewne jeszcze większem, bo z początku do dwu usługujących nam kelnerów dodano jeszcze dwu. I wszyscy byli biedacy zatrudnieni, usiłując dociec sensu tego, cośmy im usiłowali wytłomaczyć po angielsku. Czasem, w trudniejszych wypadkach, zbierali się we czterech razem i radzili, co to być może? W końcu wpadli na pomysł i podawali nam jadłospis z tekstem dodatkowym po francusku. Ogromniemy się ucieszyli i porozumienie weszło na lepsze tory, ale ileśmy przedtem zjedli rozmaitych obrzydliwości, a ileśmy opuścili rzeczy smakowitych i wskazanych, o tem wie tylko kelner i kompanja okrętowa, której oby to zresztą nie było na tamtym świecie policzone.

Owoce, ryby, mięso białe i zwykłe, jarzyny, różnego rodzaju codziennie świeże pieczone bułeczki i paszteciki, wszystkie gatunki napojów, miód, masło i konfitury—ser—woda do rąk—koniec. Ceremonjalne:—Excuse me!.. —Przepraszam—w kierunku pozostających jeszcze współbiedników, wszechuważny kelner odsuwa krzesło—można wstać i iść. Po drodze ciekawy rzut okiem na otoczenie. Śniadanie trwa godzinę, ci więc wstają, a inni dopiero siadają lub przychodzą. Jak się też ubiera ta socjeta morska rano? Są tu bardzo eleganckie kobiety i wytworni panowie. Niestety! Prózne zaciekawienie. Nie ubiera się wcale.

(d. c. n.).



WANDA MIŁASZEWSKA.

7

## KSIĘGA UMARŁYCH

— Słusznie mię przepraszasz, chłopcze, bo, primo, jako starszemu od ciebie, secundo, jako ciężko choremu, wiele mi wolno. Ale mniejsza o to. Co do twej matki zaś, winieneś wiedzieć, że ani nie krytykuję, ani też mniej od ciebie kochałem kiedyś i kocham... Co się tu zresztą bawić w omawiania! Takich rzeczy, o ile się je popełnia świadomie, nie ma sensu ukrywać, czy wręcz się zapierać. Proponowałem kiedyś twojej matce małżeństwo (jedyne w moim życiu podobny wypadek) i—dostałem kosza. Zostaliśmy w ten sposób kolegami—ja i twój kochany wujaszek Klemens, któremu oby ziemia lekką była w przyszłości. Wprawdzie przez przeciąg trzydziestu blisko lat nie miał nawet odwagi się oświadczyć, ale zato wiem z wszelką pewnością, że osiągnąłby podobny, co ja, rezultat... Dajmy zresztą pokój dawnym dziejom! Te wspomnienia i teraz jeszcze kosztują mię trochę nerwów, a długoletnie cierpienie wątrobiane winienem był, po prawdzie, leczyć na koszt Bożywolskich folwarków.

Skrzywił się, jakby urażony w bolącą, niezgojoną ranę i mruknął:

— Maszynka gotowa stanąć wcześniej, niż się spodziewam... Tak, tak! zielone winogrona, to bajka wierutna! Życie dotkliwie uczy, że bez nich obejść się można, gdy trzeba, ale taka nauka dużo kosztuje. Dlatego powtarzam ci, Jerzy; miarkuj swe apetyty według granic możliwości. To, co powiedział wieszcz poeta o zamiarach i siłach, jest pięknym frazesem... A zresztą, pal licha wszystkie teorie o życiu! Jedno jest pewne, że z naszym zezwoleniem, czy bez, któregoś pięknego dnia przybędzie szara odźwierna upomnieć się o komorne. I będziesz wyeksmitowany, mój drogi, z „pałaców, sterczących dumnie“, czy też z ubogiej lepianki. Lokatorami jesteście wszyscy, ubogimi najemnikami na tym padole... Zajrzyj Zwierzchnik do księgi obrachunkowej i wymówi nam lokal, wikt i opierunek. Pozwolisz teraz, że odpocznę. Widzę z przykrością, że i mówienie mię męczy. Wracaj do hotelu, czy zostań tu—rób, jak chcesz. Możesz mi opowiadać o sobie, o wujaszku Klemensie, wszystko jedno... Będę słuchał i tak lewem tylko uchem, ponieważ prawe od tygodnia mi nie służy.

## VIII.

Wieczorem, po powrocie do hotelu, czułem się tak przygnębiony, że nie na list, ale zaledwie na telegram do wujaszka Klemensa się zdobyłem, donosząc mu, com zastał w Paryżu.

Prostu—powtórzyłem automatycznie słowa doktora, który zapowiedział mi, że za nic nie ręczy, gdyż paraliż, narazie częściowy, może ogarnąć resztę ciała, a wówczas nie będzie już ratunku. Doktor ten, młody i pocziwego wyglądu człowieczek, spytał mię następnie:

— Czy to pan jest kuzynem chorego?

— Tak, doktorze, a nawet najbliższym.

— Ha! W takim razie zmuszony jestem uprzedzić pana, że każdej godziny spodziewać się można katastrofy.

Pod wrażeniem tych słów włączyłem się długo rżęsiście oświeconymi bulwarami. Kilkakrotnie skręcałem w stronę lecznicy, by jeszcze chociaż na chwilę wstąpić, dowiedzieć się—ale przy samem wejściu zmieniłem plan. Ogarniało mię nagłe zmęczenie i takie wyczerpanie mózgu, że w głowie kołowała tylko myśl jedna:

— Wrócić, położyć się i spać.

Tak też uczyniłem wkońcu.

Nazajutrz o wczesnej godzinie już byłem w lecznicy. Stryj nietylko nie umarł w nocy, ale nawet czuł się znacznie lepiej.

— Może maszynka jeszcze się trochę pokręci—zawołał dość rzeźkim głosem na mój widok. Był świeżo ogolony i nie wyglądał już, tak jak wczoraj, na żyjącego trupa.

— Sądzę, że sprzykrzy ci się wkrótce rola garde malade'y, mój Jerzy. Co do mnie, wolałbym skrócić ostatnie sceny, obciąż je, jak wprawny reżyser obcina balast zbytecznych „kwestji“, bez których całość sztuki znakomicie obejść się może. Epilog zresztą łatwo przewidzieć. Lubiłem zawsze opuszczać teatr przed zapadnięciem żelaznej kurtyny. Jaka szkoda, że mi się to nie uda obecnie. Nudny to spektakl, własne życie, a muszę mu asystować do końca.

Mówił tym samym swobodnie—drwiącym tonem, jak zawsze zwykł mawiać o rzeczach najpoważniejszych dawniej, kiedy był w pełni sił swoich. Przyznaję, że na mnie te zdania, rzucane jakby od niechcenia ze swadą, lub ironicznym humorem, czyniły nader przygnębiające wrażenie. Ten człowiek nawet we własnej śmierci doszukiwał się nowych, niezaznaczonych dotychczas wrzeżeń.

Sam to nawet podkreślał niejednokrotnie, mówiąc naprzykład do mnie w ten sposób:

— Nie przypuszczałem, że na utracie władzy w nogach, można zyskać cośkolwiek. A przecież tak jest. Stałem się bogatszy o jedno więcej doświadczenie. Nigdy jeszcze nie byłem człowiekiem sparaliżowanym. Niestety, jest to dość monotony stan. Z początku czułem przygnębenie, potem pewnego rodzaju ciekawość, co będzie dalej. Teraz jestem już tylko znudzony, a wkrótce zacznę się zżymać na dobre, jeśli najbliższe czasy nie przyniosą jakiegokolwiek zmiany.

Albo, bawiąc się kreśleniem gzygzaków na kołdrze jedyną zdrową ręką, mówił z zadziwiającą swobodą:

— Śmierć? Wiem, że przyjdzie, ale myśl o niej nie absorbuje mię tak, jak swego czasu pierwszy egzamin, pierwszy bał, czy pierwsza schadzka miłosna. Tamto mogło mieć rozmaity przebieg, mogło przynieść zadowolenie, lub zawód, mogło napotkać niespodziewane przeszkody, mogło się wcale nie stać, wreszcie... A śmierć? Wiem jedno, że przyjdzie, że przyjść musi, a jaki będzie miała przebieg, ha, to już mniejsza. Nie wierzę, by człowiek, umie-

rając, zachowywał całą przytomność umysłu, cały krytycyzm, konieczny wobec poważnych zagadnień. Zresztą—wszystko to jest śmiesznie bezcelowe. Gdyby nawet, powiedzmy, znalazł się ktoś, zdolny zwyciężyć śmierć choćby na parę momentów i przyniósł ludzkości „oświaty kaganiec“ z krainy wiecznej zagadki, to cóżby z tego przyszło nam, żywym? He, he! Są rzeczy, których nie można się nauczyć a priori. Teoria pozostaje teorią, a gdy jej na własnej skórze wypróbować wypadnie, człowiek przestaje dbać o rezultat. Cóż ci przyjdzie ze świadomości, czym jest właściwie śmierć, kiedyś już umarł?

Rozmowy podobne stały się ulubionym tematem stryja Karola w ciągu następnych paru dni. Nie były to właściwie rozmowy, ale raczej monologi człowieka, który na budowaniu kunsztownych gmachów poznania strawił życie całe, a dobiegając kresu nie martwił się, że gmachy te runąć gotowe każdej minuty. On sam uważał je za bańki mydlane i bawił się tylko ich barwnym połyskiem, zanim prysnąć zdążyły i zamienić się w nicość.

Ponieważ przekonałem się, że wszelkie zaprzeczanie, lub urywanie wpół tematu gniewało stryja, więc w końcu słuchałem w milczeniu gadaniny drwiącej i żartobliwej, a zawsze przerażająco smutnej, jak droga, wiodąca do nikąd.

— Pozwólże—mawiał stryj Karol—wygadać mi się dowoli. Wprawdzie i to na nic się nie zda, ale muszę mieć przecież jakąś rozrywkę, a stanowi ją bezsprzecznie mój żywy dotąd język.

— Ale dlaczego stryj w takie właśnie dziedziny myśli najchętniej się zagłębia? Można przecież z łatwością, będąc tylko rekonwalescentem, wyobrazić sobie, że wkrótce powróci się do zdrowia i że, na przykład, pojedzie się z pewnym kochającym siostrzeńcem do kraju; że się zamieszka, dajmy na to w Bożej Woli, że...

— Te te te, mój drogi! Są to myśli nieaktualne choćby dlatego, że wkraczają w dziedzinę tego, co ma być, pomijając to, co jest narazie. Zresztą wieś (choćby nawet Boża Wola), bynajmniej mię nie nęci. Nigdy nie przepadałem za wsią, tembardziej teraz do niej nie wzdycham. Jestem człowiekiem z miasta: lubię dobrze krochmalone kołnierzyki, czego na wsi nigdy mieć nie będę. Lubię ruch i gwar, a na wsi jest cisza. Przytem, obecnie mamy lato. Muchy unoszą się rojami nad stołem, wpadają w szklanke z herbatą, w masło, w miód, we wszystko. Latają, bzycząc monotonna i uparcie siadają ci na nos. Robią sobie przyjemność na twoich rękach i kolanach, na obrusie przed tobą, na twoich ramionach i włosach. Przyznasz, że patrzeć na to i znosić to, mając w dodatku jedyną zdrową dłoń do opędzania się, nie należy do rzeczy najmilszych. Nie, mój drogi, choćbym nawet wyzdrowiał, do Bożej Woli nie pojedę, zwłaszcza teraz, gdy na polach i łąkach kwitną macierzanki, których zapachu nie znoszę. Jedyne magnes, który mię do Bożej Woli wbrew własnemu usposobieniu przyciągał—nie istnieje już. (d. c. n.).



## Z teatru.

Teatr im. Bogusławskiego. „Radziwiłł Panie Kochanku” J. I. Kraszewskiego.

Teatr im. Bogusławskiego bezsprzecznie ma już swój styl, swoją dobrą marką i swoją własną publiczność, która tam idzie nie po dreszcz sataniczny, nie po futurystyczne drgawki, ale już to kroczy nabożnie, by czołem uderzyć przed potężnymi wizjami „Dziadów” lub „Kordjana”, już to sunie rytmem mazurowym, by lampką humoru staropolskiego przepić do nieocenionego Bałuckiego, zacnego Przybylskiego, miłego Fredry syna, zagryzając pierniczkiem anyżowym z korzennej apteczki modrzewiowego dworku wydobyty.

Miło, słodko, swojsko, rzewnie, czasem trochę ekliwio. Świat się uśmiecha przez łyżki i patrzy tak pocziwie, jak stara babka przez okulary. W teatrze Bogusławskiego nie dziwimy się niczemu.

Naiwna technika nas nie razi, prymitywna faktura nie oburza, anachronizmy mają zapach ziół poświęcanych i wieńców dożynkowych, bukiety błyszczą jak słońce nad niwą skowronkami rozdzwonią.

I tym razem pomimo sezonu ogórkowego u starego pocziwca Bogusławskiego jasno było i ludno. Na scenie karabele i kontusze, łby podgolone i wasy sumiaste, a na widowni twarze jak do kontusza, do nie jak do karabeli. Przemyciło się ledwie parę fizjognomji rasowo wątpliwych, zresztą zapomnieli przyjść państwo Nowobogaccy, gdzie się podzieli spanoszeni paskarze.

Nic dziwnego! wszak na scenie grzmiał i piorunował sam książę Radziwiłł Panie Kochanku, a taki wielki pan to jest czasem bardzo prędko, i niema względu na delikatne osoby, nawet grające na giełdzie. Tem lepiej! nie zepsuto nam wrażenia.

Anegdota o księciu, zadurzonym w pannie re-spektowej, i o młodym a zadziernym szlachcicu Syrucu, z którym cały dwór nieświeski rady sobie dać nie może — nabrała w tem otoczeniu tężyzny i blasku. Przyjrzyjmy się zbliżka staremu drzeworytowi.

Akt pierwszy — łowy książęce, sam książę nie-szczęśliwym trafem zabija konia wędrownemu szlachcicowi. Sprawa niemiła. Trzeba zachować incognito a szlachcicowi dać odczepne. Więc naprędce książę zamienia rolę z szambelanem Łopuskim.

Ale szlachcic nie w ciemni bity nie da się wy-wieść w pole. On sam pod przybranym nazwiskiem za wszelką cenę musi się dostać na zamek nieświeski, by porwać stamtąd narzeczoną, Leosię Puciatównę, do której książę smali cholewki. Los śmiałkom sprzyja. Książę sam zaprasza szlachcica na zamek, chcąc go na pośmiewisko pieczeni polską uczęstować. Nikt się nie domyśla prawdziwego na-

zwiska i tajemnych zamiarów młodzieńca, prócz dworzanina Wirszytta, lizusa i widrwigrosza, który dla interesu gotów wszystko wyśpiewać. Ale i na to jest rada.

Trzeba Wirszytta zrobić warjatem, a księżę, pa-nicznie lękający się obłąkanych, nie da posłuchu je-go ostrzeżeniom.

Wszystko idzie jak z płatka. Hardy Syruc ani myśli tknąć polskiej pieczeni, pije jak gąbka, nikt z książęcego dworu nie może mu placu dotrzymać, ani na szable, ani na kielichy. Sam książę jest zdumiony i ujęty jego tężyzną, swadą, sprytem i szlachecką butą.

I dzieje się, co się stać musiało. Wirszytt skre-powany ma iść na kurację do Bonifratrów, a tymcza-sem Syruc pannę wykrada i w pobliskim kościełku ślub bierze.

Aliści ucieczka młodych się wykrywa. Zazdrość i gniew krwią zalewa oczy Radziwiłła i rozum mu osłepia. Każde załodze stanąć pod bronią, działa wy-toczyć na wały, bić we dzwony na trwogę.

„Ślub nieważny, ja tu proboszcz na Nieświeżu, małżeństwo stulą związane stryczek rozwiąże. — I grozi szubienicą nienawistnemu Syrucowi.

Ale od czego błękitne oczy Leosi? W chwili sta-nowczej pada na kolana przed księciem. Oto pier-ścien, który jej przed paru godzinami darował. Przy-rzekł, że gdy go ujrzy, spełni wszystkie prośby Leosi. Słowo książęce nie fraszka. Dumny magnat głęboko w sercu pochowa miłość do wiochnej zaściankowej i urazę do herdego szlachcica. Z pańskim gestem wypuszcza mu folwark w dzierzawę, sprawia młodym wesele a pannę w pierwszą parę do poloneza prosi.

Wirszytt z postronków uwalnion korzystając z pańskiego humoru wyludza przy tej okazji doży-wocie, krotchwila szlachcka skończona. Numa wy-szła za Pompiljusza, przebrzmiały salwy i wiwaty, książę Panie Kochanku został na zamku nieświeskim w gronie pieczeniarzy i sługusów, z rozdziawionymi gębami zasłuchanych w jego dziwaczne anegdoty.

Przesunął się przed naszymi oczami obraz Pol-ski starszszlacheckiej, niegdyś możnej, barwnej i pysznej, dziś cicho śpiącej w zbutwiałym kontuszu i przy zardzewiałej karabeli pod zdeptaną darnią mogiłą.

Dyrekcja teatru Bogusławskiego uczyniła wszyst-ko, aby temu obrazowi dodać barw i blasku. Obsada ról była naogół trafna. P. Bolesławski w roli księcia miał gest i pozę wielkopańską, a humor Zagłoby.

Syruć w interpretacji p. Dobrowolskiego porywał młodzieńcem ogniem.

Był to zuch nad zuchy, Kmicic en miniature. Za to p. Marja Wittizanka jako Leosia Puciatówna w ni-czem nie przypominała Oleńki Sienkiewiczowskiej. Był to typ zgaszony i niedociągnięty.

## Z przeglądów zagranicznych.

W „Bibliothèque Universelle et Revue Suisse” znajdujemy ciekawe szczegóły o obyczajach panują-cych wśród młodych panien w Ameryce.

Absolutna swoboda, z której korzystają, zupełny brak opieki i wszelkiej kontroli starszych sprawiają, że panny chodzą w towarzystwie, nieznanym nawet rodzicom, młodych ludzi do kabaretów i dąsingów i że w szatniach tych ostatnich zostawiają wraz z płaszczykami i — gorsety, które podobno przeska-dzają w wykonywaniu tańców takich jak: „Krok wiel-błąda”.

Przeciw zachowaniu studentek, a nawet uczen-nic szkół średnich podniosły się już publiczne pro-testy i — rzecz znamienita — w liczbie protestujących znaleźli się studenci jednego z uniwersytetów, któ-rzy wyrazili życzenie, aby została zniesiona koodu-kacja w wyższych zakładach naukowych.

—O—

W przeglądzie „Vivos Voro” wychodzącym w Ber-linie ukazał się „Program Ligi młodzieży wszech-światowej”.

Liga postanawia „walczyć ze starym ustrojem społecznym, który utracił wszelką rację bytu mo-ralną i historyczną” i zamierza stworzyć nowy po-rządek społeczny przyszłości.

Dalej Liga zapowiada, że będzie dążyła do tego „by ten rewolucyjny światopogląd był przejęty du-chem nowym i wzniosłym, by ze stosunków pomię-dzy ludźmi i narodami”, usunięto stare zasady gwałtu i interesu. Liga zamierza szerzyć te poglądy prze-dewszystkiem wśród młodzieży, która posiada umysł wrażliwy i jest bardziej skłonna do poświęcenia i za-parcia się siebie.

—O—

W przeglądzie Amerykańskim „Illinois Magazi-ne” zwracają uwagę szczegóły dotyczące wytwórczo-ści St. Zjednoczonych w 1920 r. w porównaniu z ro-kiem 1880.

Okazuje się, że produkcja rolna, mineralna i przemysłowa na głowę powiększyła się w ciągu tego czasu czterokrotnie, w pierwszym rzędzie dzięki udoskonaleniu maszyn i zastosowaniu odkryć nauko-wych.

Ponieważ identyczne wyniki zanotowano w An-glii, we Francji i w Niemczech, więc teoria pesymi-stów o tem, że ziemia nie jest w stanie wyżywić wszystkich swoich mieszkańców okazuje się zupełnie nieuzasadnioną.

Gdyby energia wytwórcza ludzkości była zuży-tkowana w sposób racjonalny i skuteczny, świat w niedługim czasie mógłby znaleźć się w warunkach materialnych nawet lepszych niżeli przed wojną.

—O—

Zadużo w niej było pokornej młódki z fraucyme-ru, zamało ognia i piękności, która serce Radziwiłła podbiła. Reszta artystów była poprawna. Wystawa, kostjumy, akcesoria bez zarzutu.

W dwóch ostatnich aktach ciekawy pajak sie-dmiopłomienny z syreną. Czyżby konterfekt wierny tej morskiej dziewicy, z którą wedle słów Księcia Panie Kochanku dał mu ślub arcybiskup Syrakuzu, a którą potem w srebrnej wannie ze sobą obwoził.

S. P. O.

## „Książki ciekawe”.

Nakładem „Książek Ciekawych” wydano w tych dniach tom nowel M. Domańskiej p. t. „Fotografie mówią”.

Jest to zbiór składający się z ośmiu opowia-dań, które, — lubo każde z nich stanowi oddzielną całość, — posiadają jednakże pewne cechy wspólne, łączące je w kompozycyjnie zharmonizowaną całość. Łącznikiem tym jest przeważnie subtelny mistycyzm. Wysoce uzdolniona autorka wyczuwa doskonale tajne drżenia duszy i wpływ pierwiastku nadprzyro-dzonego na bieg powszedniej rzeczywistości. Jasno-widzenie przewrażliwionych zmysłów, ich kontakt z czwartym wymiarem, błyskawiczne, prorocze nieo-mal przeczucia cierpiących serc wszystko to oddane jest wybornie w noweli tytułowej, oraz w „Oczach które wiedzą”. Bohaterem jest tutaj ślepiec, którego ociemniałe źrenice nagle wiedzą, nie widząc, że do-konał się przed nimi akt przeniewierstwa miłosnego i zdrady. Inne opowiadania jak np. „Historja o du-chach”, „Vita Nouva”, „Wiesć z tamtego świata”, „Akcja ratunkowa p. Joli” i „Powrót dziedzica” odzna-czają się treścią i wyborną formą narracyjną.

## Treść № 36.

Punkt zwrotny — I. Pannenkowa. Poglądy peda-gogiczne E. Ziemięckiej — J. Rzętkowską. O prze-mianie materji — dr. Gorecki. Orestes — prof. T. Zieliński. Gwiazdy i dolary — M. H. Szpyrkówna; Księga Umarłych — W. Miłaszewska; Z teatru, Książki Ciekawe, Z przeglądów zagranicznych. Dodatek mód. Dodatek powieściowy „Rozbitki” R. Tagore (przekład Buchholtzowej).

P. Jemolo w „Nuova Antologie” w artykule za-tytułowanym „Papiestwo w świecie nowoczesnym” stwierdza, że Kościołowi Katolickiemu, który podczas ubiegłego wieku był zmuszony rozwinąć specjalną czujność nad Europą Zachodnią, obecnie z tej strony nie zagraża żadne niebezpieczeństwo.

Konflikty zarówno we Francji jak w Niemczech w Portugalji i w Hiszpanji nie tylko zostały zażegna-ne, ale ludzkość cała, po strasznych wstrząśnieniach ostatniej wojny, łaknie pokoju i odrodzenia w duchu religji. P. Jemolo upatruje dla Kościoła Katolickiego możliwość pozyskania wielkich mas rosyjskich i połączenia Kościołów Zachodniego ze Wschodnim.

Jednem z trudniejszych zagadnień wydaje mu się sprawa ochrony miejsc świętych w Palestynie, sprawa równie blisko obchodząca chrześcijaństwo, jak zwarte masy żydostwa wszechświatowego.

Gdyby papież wystąpił w tej sprawie wrogo względem sjonistów, żydostwo oskarżyłoby go nieza-wodnie o rozbudzanie nowej fali antisemityzmu i ucierpiałaby na tem sprawa pokoju powszechnego.

S. Jemolo sądzi, że rozwiązanie trudnego tego zagadnienia w duchu pogodzenia moralnych intere-sów chrześcijaństwa z narodowymi aspiracjami ży-dów byłoby tryumfem dla papiestwa i przyczyniłoby się do podniesienia powagi Kościoła po obu stronach morza Śródziemnego.



# CENTRALNA HURTOWNIA KOŁA POLEK

NOWY ŚWIAT № 72. ——— Tel. 179-29 i 140-61

DZIAŁY BŁAWATNY I GALANTERYJNY OBFIĆCIE ZAOPATRZONE. W DZIALE SPOŻYWCZYM NA SKŁADZIE: SÓL, MAKA, CUKIER, SMALEC, SŁONINA, MASŁO, JAJA, KAWA, HERBATA, KASZA W RÓŻNYCH GATUNKACH i t. d.

SPRZEDAŻ HURTOWA I DETALICZNA DLA INSTYTUCJI—WSPÓŁDZIELNI I POSZCZEGÓLNYCH OSÓB CYWILNYCH I WOJSKOWYCH.

SKLEPY DETALICZNE:

Wspólna 35, Hoża 37, Nowogrodzka 31, Krzywe Koło 6, Senatorska 17 i Złota 2.

Prosimy o wnoszenie prenumeraty na P. K. O. 3700.

WZOROWE  
WARSZTATY

**TKACKIE**

MAŁE ::  
GREMPLE DO

**WEŁNY**

MAŁE  
PRZĘDZALNIE

**LNU**

—== poleca ==—

Fabryka Maszyn Inż. W. Żórawski w Warszawie ul. Wilcza 2.

Żądajcie  
wszędzie  
Bluszczu!

## TOWARZYSTWO ZAKŁADÓW GRAFICZNYCH KOŁA POLEK

PRZYJMUJE DO ROBOTY: KSIĄŻKI, BROSZURY, BLANKIETY,  
TABELI, PLAKATY, ODEZWY i t. p.

WYKONANIE SZYBKIE, DOKŁADNE I TANIE.

TELEFON 244-18.

NAJMOCNIEJSZE! NAJTAŃSZE!  
KONWIE DO MLEKA

**OMEGA**

SKOPKI DO DOJU, CEDZIDŁA  
MASIELNICE, WYGNIATACZE

SPRZEDAJE

ZWIĄZEK SPÓŁDZIELNI  
MLECZARSKICH i JAJCZARSKICH  
Warszawa, Krak.-Przedmieście 6.

## OD WYDAWNICTWA

Prenumerata „Bluszczu”

miesięcznie - - - - - Mk. 1500.—  
z odnośnieniem do domu, lub przesyłką pocztową.

Zagranicą miesięcznie Mk. 5000.— Cena numeru pojedynczego Mk. 400.—  
Zmiana adresu Mk. 300.—

REDAKCJA: Nowy-Świat 41 — Telefon 105-22.

ADMINISTRACJA: Pałac Staszycy Krak.-Przedm. 2, Koło Polek tel. 239-40.

## CENY OGŁOSZEŃ

| Strona     | Cała   | 1/2    | 1/4    | 1/8    | 1/16   |
|------------|--------|--------|--------|--------|--------|
| Pierwsza . | 60 000 | 35.000 | 20.000 | 12.000 | 6.000  |
| Tekstowa . | 70.000 | 40.000 | 25.000 | 15.000 | 10.000 |
| Ostatnia . | 60.000 | 40.000 | 18.000 | 10.000 | 6.000  |

Klisze na koszt klienta.

## OGŁOSZENIA

przyjmują prócz administracji „BLUSZCZU”: Tow. Akc. „REKLAMA POLSKA”, Warszawa, Jasna 10, BIURO OGŁOSZEŃ T. PIETRASZEK — Marszałkowska 115, L. i E. METZL i Sp. — Marszałkowska 130, BIURO DZIENNIKÓW S. UNGRA — Senatorska 12, Polsko-Ameryk. Tow. „NOWA REKLAMA”, Długa 9 i I. Buchweitz — Marszałkowska 107.

Wydawca: „KOŁO POLEK”.

Redaktor: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (Łozińska).

Tow. Zakładów Graficznych KOŁA POLEK Nowy-Świat 8.